

Wyznania szczerego entuzjasty teatru

Katarynka

Gdy młody w Starym dla własnych, doraźnych potrzeb reżyserskiej kariery kuriozalnie „tresuje” dramaturgicznego klasyka, na oczach wniebowziętej studenterii robiąc z niego pożerającą pistolety babę z brodą po jaja, gdy na scenie harcerz ten w czyn wprowadza odwieczną zasadę zbuntowanych budrysów: „na złość mamusi odmrozę sobie uszy” – wtedy widownia w szwach trzeszczy, a piskom, zachwytem i rykom poparcia końca nie widać. Dziwne.

Nawet bardzo dziwne, bo gdy inny młody reżyser, inny i gdzie indziej, bo w Ludowym, pozwala się dramaturgicznemu klasykowi trzymać za pysk i precyzyjnie po słowach prowadzić aż do kody, ostatecznego sensu, który został napisany przez tegoż klasyka, nie zaś przez młodego reżysera – wtedy na widowni jest obywateli i obywaterek w sumie sztuk dziewięć. Plus wielka cisza.

Dlaczego tak? W środę na widowni staromiejskiej sceny Teatru Ludowego – Sceny Pod Ratuszem – byłem jednym z tej śmiesznie samotnej dziewczynki. Oglądałem „Świadków”, ujmując czystą opowieść, co ją reżyser Piotr Jędrzejak z dwóch dramatów Tadeusza Różewicza ulepił – ze „Świadków albo naszej małej stabilizacji” i z drobiazgu „Dzidzibobo, czyli miłość romantyczna czeka już pod drzwiami”. Wiem, wiem, pisałem już o tym sensie, gdy przez moment grany był w Teatrze im. J. Słowackiego, na Scenie w Bramie. I właśnie dlatego poszedłem raz drugi. Poszedłem pod ratusz, by zobaczyć, jak się dziś trzyma tamta dziwna czystość, co na mądrzej pokorze wobec klasyka wyrosła.

Otóż, paradoksalnie – potężniejsza ona. Wedle mnie potężniejsza sceniczny sens pilnego słuchania słów klasyka – i właśnie dlatego (to już drugi paradoks) pustoszeje widownia. Dlaczego tak?

Młodą kobietę gra Aneta Wirzinkiewicz, młodym mężczyzną jest Marcin Kalisz. Młodzi? Za dużo rzekłem. Trzeba, jak Jędrzejak, ufać autorowi. Tu wystarczy rzec: Ona i On, Kobieta i Mężczyzna, Trzeci i Drugi. Tyle. To wszystko, czego chciał Różewicz. I wiedział, co czyni, bo tyle wystarczy. Wystarczy, by przez półtorej godziny śmiertelnie przeżutymi banałami przetrucali się tyleż ludzie, co – jak mówi w programie Jędrzejak – powłoki ludzi.

Tak, powłoki. Coś jak skóra węża albo futro tygrysa w salonie przed kominkiem. Tyle zostaje, gdy człowiek, lekając się jasno-czarnej sensualności świata, poprzestaje na żalostnej roli bycia tylko szczekającym świadkiem własnego oddychania. To pozostaje, gdy On/Ona, miast zliżać ścieżkę potu z szyi Jej/Jego, wybiera słowną papkę, która jest jak chwilowo odsuwająca ból zasłona dymna, wybiera papierową gładźbę o mleczku, koteczku, piesku i miseczce. Wtedy z człowieka naprawdę zostaje tylko szczekająca skorupa, bredzący truiżmy futerał, manekin godny ledwo rżężącej katarynki. Prawie nic nie zostaje, ale to i tak nie pomaga. Bo ból wraca. Zawsze.

Tacy są On i Ona u Jędrzejaka. Sypcy niczym pieprz, klekoczący zdania dziurawe jak wiekowe ścierki, smutni smutkiem zardzewiałych megafonów. Są tacy dlatego, że tacy są u Różewicza. I więcej jeszcze. Są różewiczowscy do końca – na tym polega dobro ufności Jędrzejaka, który w przeciwieństwie do kolegów uwiecznionych przeze mnie w pierwszym akapicie czyta porządnie, a nie dopisuje swych pretensjonalnych odkryć do tekstu przeczytanego bez zrozumienia.

Po prostu, On i Ona są tacy, jakimi zostali napisani – do końca, do spodu, do dna tekstu. Właśnie tu u Różewicza pałęta się ból. Na dnie słów rodzi się drżenie, którego On i Ona już nie mogą zagłuszyć żadnym szczekaniem. I te momenty są w „Świadkach” Jędrzejaka gorzkie najintensywniej. Na pustej scenie (wreszcie!), na samotnej wersalce, która raz jest sobą, raz kawowym barem, raz łazienką, z Wirzinkiewicz i Kalisza czasem wyłazi lęk. Pomimo szczekania, pomimo potężnego katarynkowego mozołu, pomimo ogromnego pragnienia, by się nie bać. No dobrze, ale nie bać się – czego właściwie?

Co to za lęk? Jaki ból?... No właśnie. Parę razy już pytałem, dlaczego takie wzięcie mają dziś kuriozalne, sceniczne erzace, w które harcerze reżyserii, w ramach „rewizji romantycznych”, zmieniają klasyków w Narodowym Starym Teatrze. Czemu młódz „kupuje” Słowackiego przyrzniętego do poziomu dzisiejszej małości harcerzy – rewolucjonistów, a na „Świadkach”, co są efektem reżyserii cichej niczym mysz – pusto jest? Czy aby nie dlatego, że u Jędrzejaka lęk i ból to jakości nieokraszone doraźnymi przymiotnikami? Czy nie dlatego, że Ona nie jest, dajmy na to, żoną czekającą na swego wojaka, On zaś nie jest saperem, który woli zginąć w Iraku niż wracać do swej wiecznie paszczą klepiącej „starej”?

Nie chce być inaczej – na „Świadkach” Jędrzejaka jest pusto, bo w żadnym swym elemencie nie są oni na czasie. Przykro mi, drodzy nowocześni, ale Różewicz Jędrzejaka nie jest Elżbietą Jaworowicz, która bada pałace problemy pracujących matek, dzisiejszych losów etosu solidarnościowego albo też przyszłości pokolenia JP II. Nie. Różewicz Jędrzejaka to po prostu Różewicz. I, o ironio – ściśle dlatego seans Jędrzejaka jest na czasie. I to bardzo!

Czymże bowiem jest sceniczna aktywność harcerzy z „rewizji romantycznych”, jeśli nie katarynkową bezradnością bohaterów „Świadków”? Czym harcerze parają się w istocie? Otóż – tym samym! Dławią fenomenalną nieuchwytność klasyków martwym bełkotem naszej szurowej codzienności. Różnica tylko ta, że z harcerzy żadne drżenie zbyt szybko nie wychynie. Cóż, katarynki – twardejki.

Teatr Ludowy, Scena Pod Ratuszem. „Świadkowie” wg dramatów Tadeusza Różewicza. Scenariusz i reżyseria Piotr Jędrzejak. Scenografia i kostiumy Marcin Chlanda.

PAWEŁ GŁOWACKI